

Józef Pless

Poezji nie można zgrillować

Dariusz Muszer – ur. w 1959. Poeta, prozaik. Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim. Pracował m.in. jako ślusarz, stolarz, taksówkarz, instruktor teatralny, klezmer, dziennikarz i grabarz. Pisze i publikuje po polsku i niemiecku. Wydał kilka tomików wierszy, m.in. „Zatrzymane wersy” (1987), „Die Geliebten aus R. und andere Gedichte” (1990), „Księga zielonej kamizelki” (1996), oraz powieści: „Ludziojad” (1993) i „Die Freiheit riecht nach Vanille” (1999).

Józef Pless: Od wielu lat żyjesz w Hanowerze. Od 1989 jesteś członkiem Związku Pisarzy Niemieckich. Wnioskuje, że masz kontakty z autorami niemieckimi i dyskutujesz z nimi a na różne tematy. Czy rozmawiasz także o poezji polskiej i literaturze. Jeśli tak, to czy mógłbyś podzielić się treścią tych rozmów.

Dariusz Muszer: Poezję piszą i czytają w Niemczech szalenie. Pisarze niemieccy rzadko bywają szalenicami, czytelnicy zresztą również. Pisarze niemieccy prędzej przyznają się do onanizmu czy do uprawiania praktyk sadomasochistycznych, niż do tego, że piszą wiersze. Jest to kraj, w którym króluje proza, zarówno w życiu, jak i w literaturze. Piszę się tu zwykle krótkie, przeintelektualizowane książki, których nikt nie czyta. Słusznie Maxim Biller nadaje współczesnej literaturze niemieckiej miano „Schlappschwanzliteratur”, co w bardzo kulturalnym przykładzie oznacza „Literatura impotentów”. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek rozmawiał z jakimkolwiek pisarzem niemieckim głębiej o literaturze jakiegokolwiek kraju. O literaturze pisarze nie powinni rozmawiać, wystarczy, że będą potrafili wymienić kilka nazwisk, i to, najlepiej, dawno zmarłych kolegów. Poezję z kolei przemilcza się niemalże zupełnie, jak dalekiego krewnego, którego nie zaprasza się na party, gdyż mógłby przypadkiem ukraść srebrną tyliczkę.

J.P.: W prasie polskiej i polonijnej publikujesz recenzje literackie. Z tego właśnie powodu twoje zdanie na temat „Jaka jest współczesna poezja” będzie z całą pewnością bardzo interesujące.

D.M.: Nie wiem, jaka jest cała współczesna poezja polska, wiem jaka jest ta, z którą miałem i mam do czynienia. Wiem, że lubię polskojęzyczną poezję, choćby z tego powodu, że polski to jedyny język, w którym jestem w stanie zrozumieć kulturowe aluzje i dowcipy o babie, która przychodzi do lekarza. Polska jest bezsprzecznie krainą poezji. Nawet wyciągi z konta, nawet rachunki u rzeźnika są tam poezją: metafora goni metaforę, co innego się myśli, co innego się mówi, a jeszcze co innego robi. Wydaje się tam tak wiele pism literackich, drukuje tyle tomików poetyckich, że tylko pozardzić.

Przyznaję się również do tego, iż przed kilkunastu miesiącami zupełnie straciłem serce do współczesnej poezji pochodzącej z Polski. Nie przyszło to nagle. Zalala mnie poezja, zalala mnie krew. Pod koniec ubiegłego wie-

ku, od połowy lat dziewięćdziesiątych, na moim biurku recenzenckim i na moim nocnym stoliku zaczęły pojawiać się książeczki, które z poezją miały tyle do czynienia, co ja z owocem mango. Z pewnością to nie wina poezji i wydawców, tylko moja. Zmienił mi się gust, zmieniła się perspektywa. Nie tyle interesuje mnie obecnie poetyzowanie, nie tyle celna metafora czy aluzja polityczna, estetyczna bądź religijna, ile to, czy poeta ma coś do powiedzenia i czy naprawdę chce coś powiedzieć, chce się ze mną czymś podzielić. Czymś, co mnie, czytelnika, zaskoczy i zastanowi. Nie musi być to koniecznie coś całkiem nowego, musi być to jednak autentyczne i prawdziwe, świeże i płynące z brzucha, z serca. Sztuczki poetyckie, fałszerstwo poetyckie nie robią na mnie obecnie większego wrażenia. Wcześniej, przyznaję, dawałem się często na nie łapać. Nie przepadam za poetami, którzy kierują się aktualnymi modami poetyckimi, a takich jest (i było) w Polsce pod dostatkiem. W dodatku mody te, z mojej perspektywy, są mocno zwietrzałe. Poezja polska stała się anglosaską i religijną papugą, papugą skarlalej codzienności, papugą samej siebie, której uroiło się, że jest pawiem. W sensie zwracania ciągle tych samych metafor i obrazów polska poezja jest rzeczywistością pawiem. Arvo Tuurtainen, fiński poeta, napisał kiedyś piękny wiersz pt. „Bacz, aby poeci twoi nie kłamali”.

Tyłu wokół nas kłamców! Poeta nie powinien kłamać, gdyż niszczy tym sam kulturę. Nie straciłem wiary w to, że poeci mają w każdym narodzie specjalną rolę do spełnienia. Kiedyś myślałem, że rola ta jest wielka, wyjątkowa, teraz wystarczy mi tylko, jeśli poeci nie będą kłamali.

Z kolei bardzo sobie cenię polskojęzyczną poezję tworzoną poza Polską. Przyznaję, nie zawsze jest to poezja najwyższych lotów, ale z przyczyn emocjonalnych jest mi ona bardzo bliska. Z dala od tłumy, z dala od stada, od korzeni pisze się inaczej; nie lepiej, nie gorzej, tylko właśnie inaczej. Nie wymieniam w tym momencie żadnych nazwisk, gdyż mógłbym kogoś pominąć i byłoby mi przykro. Wielu wspaniałych poetów polskojęzycznych średniego pokolenia znajdziemy w Kanadzie, w Holandii, w Szwecji, w Danii, no i oczywiście w Niemczech.

J.P.: Czy współczesny świat potrzebuje poezji i poetów?

D.M.: Większość rzeczy, jakie produkowane są obecnie w przodujących czasowo kulturach „błędnych tuarży”, nie jest niezbędna do życia. No bo czy można np. informację internetową czy obraz telewizyjny zjeść? Poezja, podobnie jak gra komputerowa czy film, jest czymś, co daje nam możliwość zapomnienia, że w gruncie rzeczy życie na ziemi nie dość, że jest krótkie, to jeszcze nudne. Poeci są tak samo potrzebni, jak sprzedawcy kebabu, z tym, że ci drudzy żyją lepiej. Im społeczeństwo jest bogatsze, tym mniej potrzebuje poezji. Może dlatego tak się dzieje, gdyż poezja jest w gruncie rzeczy magią, tajemnicą, czymś, czego nie da się złapać, czego nie można zgrillować, posmarować keczupem i zjeść.

J.P.: Jak widzisz przyszłość poezji polskiej i europejskiej?

D.M.: Poezja to jedyna forma wypowiedzi literackiej, która ma przyszłość. Z perspektywy jednego życia, z perspektywy dwóch, trzech pokoleń, myśl ta wydaje się niedorzeczna.

W nadchodzących czasach unifikacji, internetu i społeczeństw informacyjnych poezja będzie jedyną możliwością wyrażenia indywidualnych myśli i potrzeb. Będzie mniej poetów, lecz ci, którzy przetrwają, pójdą w głąb siebie. W przyszłości będzie dobrze mieć znajomego poetę. Ktoś przecież będzie musiał nam objaśnić świat.

J.P.: Twoja powieść „Die Freiheit riecht nach Vanille” („Wolność pachnie waniliowo”) wydana przez monachijski A1 Verlag (Wydawnictwo A1) miała swoją premierę podczas ubiegłorocznych targów książki we Frankfurcie nad Menem. Jest to twój, jak sądzę, udany debiut prozatorski w języku niemieckim. Jak po upływie kilku miesięcy oceniasz szansę swojej książki na rynku niemieckim.

D.M.: Mój wydawca jest zadowolony. Az tak przychylnych reakcji chyba nie spodziewał się. Ja, zresztą, również. Rynek niemiecki jest trudny, szczególnie dla nieznanymi autorów, a książka wyszła od razu w dość dużym nakładzie, i w dodatku w twardej oprawie. Wydawca dużo ryzykował. Jest to moja pierwsza powieść powstała całkowicie po niemiecku. Nie byłbym w stanie napisać jej po polsku, przyszła do mnie po niemiecku, i tak już zostało. Opowiada o lużycko-polsko-niemiecko-żydowskim mieszańcu pochodzącym z Polski i o pewnym masowym mordercy, który grasuje w Hanowerze. Przyznaję, miejscami dość makabryczna i kryminalna historia, jednakże z dużą dawką ironii i satyry. Klaus Seehafer zauważył w „Neue Presse”, iż powieść ta „to jeden wielki wściekły krzyk political incorrectness, przynoszący ulgę niczym pełne fantazji przekleństwo albo długo wstrzymywane pierdnięcie.” Porównał mnie do Charlsa Bukowskiego i wczesnego, anarchicznego Güntera Grassa. Na tutejszym rynku takowe powinowactwa pomagają w sprzedaży.

J.P.: Została tobie przyznana nagroda Związku Pisarzy Niemieckich za najlepszy tom prozy, który ukazał się w 1999 roku na rynku niemieckim. Jesteś wielokrotnym laureatem konkursów literackich w Polsce. Jeśli dobrze orientuję się ta jest pierwszą niemiecką nagrodą, którą tobie wręczono.

D.M.: Tak, to moja pierwsza tak poważna nagroda. Jestem z niej szczególnie dumny. Nieczęsto zdarza się, aby pisarz zmienił język i w nowym języku osiągnął więcej, niż w ojczystym. Nie miałem szczęścia do polskich wydawców. Zmieniły się ustroje, zmieniały mody, a ja nie potrafiłem się jakoś dopasować. Z siedmiu powieści, jakie napisałem po polsku, żadna dotychczas nie ukazała się w Polsce. Kiedyś było mi z tego powodu przykro, teraz jestem zadowolony, że właśnie tak potoczył się mój los pisarski. Udało mi się poznać sobie lepiej jako człowieka, a to najważniejsze. Za swoje największe „polskie” osiągnięcie uważam nagrodę „Czerwonej Róży”, przyznaną mi w 1986.

J.P.: Niemiecka krytyka literacka pozytywnie przyjęła Twoją książkę, a jak odbierają czytelnicy, z którymi ostatnio spotykasz się bardzo często?

D.M.: Reakcja krytyki bardzo miłe zaskoczyła mnie. Jedni chwalą książkę pod niebiosa, inni przejeżdżają po niej serią z karabinu maszynowego. Nikt nie pozostaje obojętny. Dotychczas ukazało się bodajże czternaście recenzji, na druk czeka jeszcze kilka, jak rów-

niez portret w tygodniku „Stern”. Tylu recenzji nie doczekałem się ze wszystkich książek, jakie napisałem przez 20 lat po polsku. Pisano o książce bardzo ciepło np. w „Die Zeit” czy „Nuernberger Nachrichten”; „Sueddeutsche Zeitung” nazwała ją „wściekle-fantastyczną powieścią”. Zresztą, nie jest ważne, czy pisze się dobrze, czy źle – ważne jest, że się wogóle pisze. Pisarz żyje tak długo, jak długo mówi się o jego książkach. Z czytelnikami rozumiem się światnie. Studenci germanistyki z Getyngi chcieli mnie od razu prześlancować z powrotem do Polski. Po spotkaniu w Lipsku pewien dziennikarz napisał, że przebywanie w jednej sali ze mną jest tak samo przyjemne, jak z braćmi Kliczko, bokserami, w windzie. Najbardziej jednak cenię sobie opinie kobiet, gdyż tylko one kupują i czytają jeszcze tak naprawdę w Niemczech książki. Szczególnie cieszy mnie niezwykle przychylna reakcja Polonii, w tym również dziennikarzy i pisarzy polonijnych. Czytelnicy to jedna z sił napędowych mojej pracy. Bez czytelników pisarz jest tylko rośliną.

J.P.: Czy polski czytelnik będzie mógł także przeczytać tę książkę?

D.M.: To, niestety, nie zależy ode mnie. Oczywiście, że cieszyłbym się, gdyby powieść ta została przetłumaczona i opublikowana po polsku. Obszerny fragment ukazał się w kanadyjskim „Liście Oceanicznym” w sierpniu ubiegłego roku, równocześnie z ukazaniem się książki na rynku niemieckim. Jeden rozdział drukował ostatnio sopocki „Topos”. To wszystko. Na więcej, jak na razie, się nie zanosz.

J.P.: Nad czym obecnie pracujesz?

D.M.: Albert Voelkmann, szef A1 Verlag, czeka już na moją następną powieść, która ma się ukazać wiosną 2001 roku. W międzyczasie piszę po polsku krótkie opowiadania fantastyczne, ktoś inny tłumaczy je na niemiecki. Również mają ukazać się w A1 Verlag.

J.P.: A co z poezją? Pisziesz nadal poezję?

D.M.: Oczywiście! Bez poezji nie można przecież żyć. Poezję piszę głównie po polsku, sporadycznie drukuję, w niemieckich i polskich pismach. Ostatnio ukończyłem dwa tomiki, które wrzuciłem do szuflady.

J.P.: Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Józef Pless